Wydawnictwa rok VII.
Dnia 18 sierpnia 1929 roku.

Nr. 311

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

Redakcja: Warszawa, ulica Szpitalna 1, telefon 282-54.

MIĘDZYNARODOWY SPADEK CEN ZBOŻOWYCH

Jednem z centralnych zagadnień gospodarczych jest w chwili obecnej, zarówno u nas, jak i zagranicą, sprawa międzynarodowego spadku cen zbożowych. Ceny zboża spadają poniżej kosztów produkcji, uprawa zbóż staje się nierentowna, rolnictwo woła wszędzie o pomoc. We wszystkich krajach odbywają się burzliwe debaty nad najlepszym i najbardziej skutecznym sposobem dopomożenia rolnictwu. Wzmaga się protekcjonizm celny, ale samo cło nie wystarcza, omawiane są więc przenajróżniejsze inne jeszcze sposoby ochrony. W Ameryce zaaranżowano zakreśloną na wielką skalę pomoc kredytową dla farmerów. We Francji wniosek socialistes-radicaux stawia na porządku obrad budowę sieci spółdzielczych elewatorów. Niemcy bardzo poważnie i gruntownie studjują problemy zbożowej polityki handlowej. Niewiele brakowało, by ustanowiono monopol zbożowy, projekt ten rozbił się o poziom monopolowej ceny zbóż. Ograniczono się do systemu świadectw przywozowych, który to system stosuje też Czechosłowacja. Austrja rozważa również bardzo intensywnie zagadnienia handlu zbożowego. Wśród licznych projektów wysunięto nawet plan premjowania uprawy roli i pokrywania tych wydatków przez pobieranie specjalnego podatku konsumcyjnego od mąki, projekt ten upadł jednak szybko.

Działalność naszych sfer rolniczych polegała dotychczas prawie wyłącznie na atakowaniu polityki rządowej. Atakowano cła wywozowe, akcję rezerw, ograniczenie przemiału i t. d. Gdyby nie te kroki rządu, ceny nie spadłyby — taki możnaby wyciągnąć wniosek, przysłuchując się głosom sfer rolniczych. Najskuteczniejszem lekarstwem — to całkowita swoboda wywozu i nieinterwenjowanie co do cen. Po wolnym eksporcie rolnicy obiecywali sobie bardzo wiele. Miał on nietylko spowodować znaczny wzrost cen zbożowych, ale przyczynić się również do poważnej poprawy bilansu handlowego.

Rzeczywistość nie sprawdziła tych nadziei. W r. b. czyniono dla wywozu żyta wszelkie możliwe udogodnienia. Najpierw udzielono b. szeroko pozwoleń na wywóz bezcłowy, później zniesiono wogóle cło wywozowe. Skasowano również podatek obrotowy przy wywozie. Dezyderaty rolników zostały więc uwzględnione. Ale nie nadeszły błogosławione skutki tych zarządzeń. Wywieziono ilości względnie nieznaczne. Eksport wyniósł bowiem w I półroczu b. r. 28.387 q. żyta za sumę 9,6 milj. zł. Ceny bynajmniej nie poszły w górę, przeciwnie, cena żyta spadła z ok. 34 zł. w styczniu do 25 zł. w lipcu.

Okazało się, że wprawdzie mamy żyto na wywóz, ale nie mamy go *gdzie* wywieźć. Dawniej rynkiem zbytu na nasze ziarno były Niemcy. Ale Rzesza ustanowiła wysokie cła bojowe przeciw nam i wpuszcza nasze zboże tylko w wypadkach wyjątkowych celem dalszego reeksportu. Niemcy z państwa importującego żyto, stały się eksporterem i zaopatrują w zboże Skandynawję i kraje nadbałtyckie. Od stycznia ub. r. do maja b. r. Niemcy miały nadwyżkę eksportu żyta w pokaźnej wysokości 31.515 tys. marek!

Hasło wolnego wywozu zboża, jako remedium na wszelkie dolegliwości naszego rolnictwa zawiodło. Przy braku należytego aparatu handlowego eksport żyta — mimo jego niskiej ceny — okazuje się nierealny.

Organizacje rolnicze postawiły szereg dalszych wniosków. Zażądały zniesienia rezerw zbożowych, co też zostało uskutecznione; zapasy rezerw sprzedano. Obawiamy się tylko, czy te same sfery, które zaproponowały zlikwidowanie tej akcji, nie wystąpią wkrótce z wnioskiem o jej ponowne wszczęcie. Usłuchano też sfer rolniczych, jeśli chodzi o kredyt zastawowy pod zboże. Sumy na te cele przeznaczone, zostały poważnie wzmożone. Powodzenie tej akcji jest jednak — naszem zdaniem — związane z problemem cen produktów rolnych.

Sfery rolnicze, zwłaszcza Polski Zachodniej, proponują również wprowadzenie za wzorem Niemiec systemu świadectw przywozowych. Projekt ten wydaje nam się jednak w naszych warunkach niecelowy i prawdopodobnie samo rolnictwo bardzo rychło wystąpiłoby przeciw niemu, gdyby on istotnie został zastosowany. Drogą tą forsowalibyśmy bowiem sztucznie przywóz, coby sparaliżowało ewentualne dodatnie wyniki wzmożonego wywozu, a dążymy wszak do samowystarczalności w dziedzinie zbożowej. System ten zupełnie nie jest dostosowany do struktury naszego handlu zagranicznego produktami rolnemi.

Wśród postulatów ekonomicznych rolnictwa, uchwalonych przez radę C. T. O. i K. R. znajduje się ponadto żądanie „doprowadzenia do należytej organizacji obrotu produktami rolniczemi zarówno w handlu wewnętrznym, jak eksportowym". Postulat ten wydaje nam się całkowicie słuszny. Czyż nie jest to jednak jedno z walnych zadań organizacyj rolniczych? Czyż nie one same powinny zwalczyć chaos panujący w handlu zbożowym, nie zaś zwracać się z tem żądaniem do rządu?

Przebieg wypadków wykazuje, że ostra krytyka stosowana przez część sfer rolniczych pod adresem rządu z powodu jego polityki zbożowej nie miała uzasadnienia. Zwalczane zarządzenia zostały usunięte, wnioski zaproponowane przez te sfery zostały przeważnie wprowadzone w życie, a mimo to poprawy nie widać. Może koła wielko-rolnicze przekonają się obecnie, że nie należy się spodziewać, by Polska mogła być znaczniejszym eksporterem zbóż chlebowych. Należałoby wysiłki skierować raczej w innym kierunku, na drogę wywozu innych płodów rolnych, posiadających lepsze widoki zbytu.

Sfery rolnicze dowodzą często, że ich znaczenie dla państwa jest niedocenione. Nic fałszywszego. Rolnictwo jest u nas otaczane bardzo troskliwą opieką czynników rządowych i wszyscy rozumieją, jaką doniosłość posiada dla kraju dobrobyt rolnictwa. Cała rzecz w tem, by znaleźć celową drogę wyjścia z obecnej deruty cen zbożowych, która jest zjawiskiem międzynarodowem. Państwa bogate w kapitały, kryzys ten oczywiście łatwiej przetrwać mogą, aniżeli Polska niezasobna w kapitały

W. B.

OD WASHINGTONA DO HOOVERA

Sir Arthur Keith o nowej rasie amerykańskiej.

Ilu wieków potrzeba na powstanie nowego ludu? Inaczej na to pytanie odpowie lingwista i badacz kultur, inaczej socjolog i polityk, a jeszcze inaczej antropolog. Nie sięgając w przeszłość wstecz poza powstanie dzisiejszych ludów europejskich, mamy np. dość obfity materjał o romanizacji po rzymskich podbojach ludności Hiszpanji i Gallji; wiemy, że od wędrówki ludów do początków 9 wieku tworzyły się ludy romańskie; że lud angielski taki, jakim go dziś znamy, nie był gotów w głównym składzie swego amalgamu przed początkiem 14 wieku. Początki różniczkowania się ludów słowiańskich musimy odgadywać; o Szwedach zapewniają nas, że to lud dzisiaj tensam, co pięć, a może i piętnaście tysięcy lat temu. Socjolog i polityk nie zadowoli się językiem i kulturalnemi wskazówkami, więc doszukiwać się będzie linji rozwojowej od plemienia, szczepu i ludu do świadomego swej roli historycznej narodu, a to zmienia ujęcia i określenia. Antropolog zaś, jeśli jest wolny od różnych anty... izmów po długich, uczonych, a często też bardzo zajmujących wywodach, w końcu przyzna, że nie miał jeszcze czasu uporać się z pojęciem rasy i że niema nienaruszalnej naukowej podstawy do twierdzenia, iż którykolwiek z istniejących dziś ludów przedstawia typ ostatecznie skończony, jednolity równy tylko samemu sobie. Z grubsza ustalił się podział na rasy ludzkie, ale nie załatwiono jeszcze sporu o właściwą ich liczbę, nie rozstrzygnięto pytania czy to — w przyrodniczem znaczeniu — rodzaje (genera), czy gatunki (specis), a tylko tyle wiadomo, że każdy z narodów cywilizowanych jest zlewem licznych, czasami wcale niespodzianych pierwiastków etnicznych i antropologicznych, że takie wchłanianie postronnych przymieszek odbywa się i dzisiaj jeszcze, chociaż w mniejszych rozmiarach, że ewolucja trwa nieprzerwanie. Od Adama — dla tych, co wierzą w biblję, a od jakiejś pra-małpy, czy jakiegoś pra-człowieka, czy też ich kilku — dla tych, co wierzą w Darwina.

Tyle też można wyczytać z artykułu w tygodniowym dodatku do „New York Times", gdzie profesor sir Arthur Keith, wybitny antropolog angielski, wypowiada poglądy na powstawanie w naszych oczach nowego ludu — nowej rasy amerykańskiej. Amerykanin nie jest transatlantycką tylko odmianą Anglika europejskiego, mimo wspólności języka, głęboko zresztą już podciętego w frazeologji. Amerykanin różni się od Anglika równie zasadniczo jak różni się Irlandczyk, nie umiejący nawet ani słowa po irlandzku, o tem wie już dawno każdy lepszy szwajcar hotelowy w Europie. Natomiast nie wątpi żaden historyk, ni socjolog, że jeszcze George Washington był typowym prawdziwie angielskim country squire, obywatelem ziemianinem, kolonjalnym coprawda, kresowcem zamorskim, ale jednak rodzonym bratem współczesnych sobie squires na wyspach brytyjskich. Ale Abraham Lincoln był już stanowczo inny, Roosevelt, Wilson, Coolidge, Herbert Hoover — by wymienić tylko najwyraźniej odcinające się postacie, które za naszej pamięci przesunęły się przez Biały Dom w Waszyngtonie, każdy z nich był znów inny, a każdy coraz to więcej „amerykański". Więc w sto lat po Jerzym Washingtonie znaczna już się objawia różnica typu, czy „rasy" i ta różnica narasta coraz szybciej. Te sto lat po Washingtonie więcej się przyczyniły do wytworzenia osobnego ludu amerykańskiego, aniżeli pierwszych trzysta po Kolumbie. Posłuchajmy, co na wstępie swego artykułu powiada profesor sir Arthur Keith:

„Antropologowie Starego świata baczny wzrok zwracają na Stany Zjednoczone Ameryki. Śledzą postępy największego doświadczenia w dziedzinie tworzenia się nowej rasy, jakie świat widział kiedykolwiek. Umożliwiły to doświadczenie nowoczesne wynalazki. Bez kolei żelaznych, bez linji telegraficznych i prasy nowoczesnej, które łączą ze sobą osiedla 110 miljonów ludzi, budowa narodu na tak olbrzymią miarę nigdy nie dałaby się przeprowadzić. Szybki przewóz napowietrzny i rozwój radja coraz bardziej zbliżają do siebie szeroko rozpostarte stany Unji. Spróbujmy wyobrazić sobie, coby się było wydarzyło, gdyby potomkowie wczesnych kolonistów rozsypali się wpoprzek kontynentu od Atlantyku do Pacyfiku, zanim poczyniono te wynalazki. Sądząc z tego, co wiemy o historji Europy, dochodzimy do wniosku, że zamiast 48 Stanów Zjednoczonych byłby powstał szereg niepołączonych, niezależnych, wojujących między sobą państw, albo narodowości. Bez środków swobodnej i szybkiej komunikacji demokratyczny kontynent jest niemożliwością. Nowoczesne wynalazki umożliwiły budowę rasy na kolosalną skalę, lecz budowniczowie tej rasy, którzy ujęli te możliwości, byli przewódcami — wielkimi mężami stanu, jakich wydawały pokolenia, odkąd „Jonathan" rozszedł się z „John Bull'em". Abraham Lincoln był głębokim i doświadczonym antropologiem, największym może, jakiego dotychczas wydał świat. Kazał swoim ziomkom bić się nie dla oswobodzenia niewolników, lecz dla utrzymania jedności; dał dowód swego genjusza jako budowniczy rasy, piętnując rozłam jako jedyny grzech nieprzebaczalny".

Mamy tu więc świadectwo antropologa, że człowiek, hodujący sobie nowe rasy koni, bydła, psów, kotów, roślin, samego siebie również bierze w hodowlę. Proces ten odbywa się nieświadomie, bo przecież żaden z wynalazców, nawet wysoko oceniających doniosłość swych wynalazków dla cywilizacji, a nawet dla kultury duchowej, nie myślał o tem, że wywrzeć one mogą i muszą wpływ swój na człowieka. To też sam sir Artur Keith swego komplimentu pod adresem Abrahama Lincoln'a nie bierze chyba dosłownie. Polityk Abraham Lincoln zrozumiał, że w oporze Południą przeciw zniesieniu niewolnictwa leżał zarodek rozpadnięcia się wielkiej federacji na kilka państw bezustannie między sobą wojujących z powodów gospodarczych, podobnych tym, które przyczyniły się do wojny wyzwoleńczej Nowej Anglji przeciw Starej. Mniejszą rolę odgrywały względy hu-

manitarne, by wyzwolić murzynów niewolników. „Wolny" murzyn w Stanach jest jeszcze zawsze fikcją socjalną, bo kto ma bodaj w szóstem pokoleniu przodka czarnego, w najszerszych kołach Stanów jest jeszcze zawsze „kolorowym dżentlemanem", choćby posiadał cerę bielszą, niż Hiszpan albo Włoch. Lincoln, szermierz imperjalizmu stanów północnych przeciw partykularyzmowi południowych, przez wojnę secesyjną zapewnił Pacem Americanam, co w państwie, obejmującem szerokość całego kontynentu rozpętało niebywałe współdziałanie sił przyrody i działań ludzkich, składających się na największy eksperyment antropologiczny. Polityka przysposobiła grunt pod hodowlę nowej rasy ludzkiej. Ale czy włamanie się barbarzyńców w imperium rzymskie nie było też podobnym czynem „politycznym", od którego początek wzięły nowe w Europie ludy i narody?

Jaki będzie wynik ostateczny amerykańskiego eksperymentu? „W dzisiejszej ludności Stanów Zjednoczonych — pisze sir Arthur Keith — znajdujemy pierwiastki z wielu ras. Około 100 miljonów jednostek przedstawia różne pnie europejskie. Czy te europejskie pierwiastki rasowe zleją się tak, że z tej amalgamacji wyłoni się nowa i jednolita rasa ludzka, która w 100 procentach będzie amerykańską? Wedle mej znajomości natury ludzkiej dzisiejszej i wedle tego, co w latach ostatnich nauczyliśmy się o ewolucji ras ludzkich, jestem zdania, że wyłoni się wyraźnie zróżniczkowana nowa rasa. Doświadczenie to komplikuje się przez obecność 12 miljonów nie — europejskiego pochodzenia. Co się stanie z tym pierwiastkiem?"

Rzuciwszy mimochodem to pytanie i pozostawiając je bez odpowiedzi, profesor Keith w dalszym ciągu obszerniej mówi o przyrodzonych właściwościach ludzkich, wpływających na powstawanie nowych ras, a ściśle mówiąc na ewolucję dawnych ras w nowych kierunkach. „Instynkty pierwotnego człowieka zwracają się i ku działaniu na dobro plemienia. Duch plemienny jest ważną częścią machiny, którą posługuje się natura przy ewolucji rasy. On to oddziela plemiona lub ludy jedne od drugich i pozwala fizycznej machinie ewolucyjnej na wykonanie jej dzieła. Każdy wychodźca przynosił do Stanów Zjednoczonych swoją cząstkę tego ewolucyjnego kapitału". Do tego dodać należy warunki życiowe. Rasy, umiejące się dostosować do nowych warunków, pozostają przy życiu. Coraz to bardziej „człowiek dochodzi do tego, że sam sobie stwarza warunki swego życia" — stwarza warunki zbiorowe, którym na imię cywilizacja. Przeniesieni na nowy, obcy grunt, przedstawiciele różnych europejskich ras, zapominają o swoich antagonizmach. „Ich antagonizmy zanikają, lecz niezatartym pozostaje duch rasy, który się zmienia tylko w swych celach. Immigranci asymilują się; ich dzieci nasiąkają duchem adoptowanej ojczyzny". Przemiana nie następuje natychmiast; niektóre rasy zatracają swój indywidualizm szybciej, inne później. „Ostatecznym wynikiem musi być wytworzenie się nowej rasy — 100 - procentowo amerykańskiej, nietylko z ducha, ale i z ciała".

Ale... czem jest rasa? „Jeśli spytamy antropologa, powie nam, że to rzecz cielesna — sprawa koloru skóry, budowy włosów kształtu głowy, nosa, sprawa wzrostu i postawy. Idąc z nami ulicą, wskaże nam każdego Chińczyka albo murzyna, który przechodzi. Skoro jednak zażądamy od antropologa, by wskazał nam każdego spotkanego saskiego Anglika i każdego celtyckiego Irlandczyka, odpowie, że rozróżnienie możliwe jest tylko w niektórych wypadkach, że więc Anglicy i Irlandczycy nie są różnej rasy. Jeśli atoli znów spytamy polityka, zapewni nas, że rasa nie zależy tylko od samego ciała, ale też od ducha. Dla niego ludzie, związani wzajemnem uznaniem wspólnoty i jedności, uczestniczący we wspólnym patrjotyźmie i wspólnem dziedzictwie, stanowią rasę. Kto ma słuszność — antropolog, czy polityk? Prawda leży w tem, że obaj mają słuszność".

„Prawda jest w tem, że żadna rasa ludzka nie jest skrzepła (fixed); wszystkie są plastyczne; nawet najzupełniej zróżniczkowane znajdują się w ciągłej przemianie. Muszą więc też istnieć rasy w zaczątku. Te rasy nie dają się rozróżnić metodami antropologa, ale ich naturę, jako ras, słusznie poznaje polityk. To są rasy w zaczątku; przeważna część narodowości, to rasy w pierwszem stadjum ewolucji. A żadna rasa nie jest tak „łaskotliwa" („touchy"), tak czuła na krytykę postronną, jak rasa w zaczątku. Dąży ona do odróżnienia się we wszystkiem — w swej fladze, monecie, prawie, języku, literaturze, stroju i obyczaju; chętnie poświęca krew i mienie dla zupełnego oddzielenia się i niepodległości".

Problem zlania się ludności Stanów Zjednoczonych w rasę nie jest, zdaniem profesora Keith'a, nowego rodzaju. W tej ludności są przedstawiciele wszystkich pni europejskich. Lecz ileż to ras zlało się, by stworzyć narodowości Wielkiej Brytanji! „Niema w Europie narodu czystej rasy; wszystkie mają wiele składników. Jednak wszystkie z większem lub mniejszem powodzeniem zmagają się o posunięcie się wyżej w skali rasowego zróżniczkowania. Wynikiem mieszania się ras jest to, że doświadczenie tworzenia się ras stale rozpoczyna się na nowo. Taki był początek każdej narodowości w Europie. To co one przez wieki robiły, to obecnie robi ludność Stanów Zjednoczonych. W Ameryce rasa wciąż jeszcze znajduje się w zaczątkowej fazie ewolucji. Ale duch który z tej ludności chce uczynić 100-procentowych Amerykanów, jest oczywisty i nie może się tu pomylić ten, kto śledził wypadki w latach wojny światowej i badał wewnętrzną politykę, jaką Ameryka prowadziła w czasie powojennym".

W ostatnim rozdziale swego artykułu sir Arthur Keith próbuje przepowiedni, opartej na antropologicznych spostrzeżeniach. „Jakim — pyta — będzie typ rasy, którego wyłonienie się przewiduję na mocy doświadczenia, już tak daleko posuniętego na kontynencie amerykańskim? Lincoln Jackson, Clay i Emerson powtarzają typ twarzy wydłużonej, raczej wąskiej, o ostrych rysach który jest nam dobrze znany w Anglji. Po moich podróżach w Ameryce i po licznych gościach z Ameryki, których mam przyjemność widywać w Londynie, doszedłem do wniosku, że typ Jackson'a (profesor Keith ma tu na myśli generała południowców w wojnie secesyjnej, przezwanego „Stonewall" Jakcson) utracił już przewagę. Gdybym z pomiędzy żyjących a wielce wybitnych obywateli miał wymienić typ, który wydaje mi się zapowiedzią przyszłości, wybrałbym prezydenta Hoover'a — typ zupełnie odmiennego odlewu. Głowa jest więcej ku-

lista, twarz bardziej płaska, krótsza a szersza. Ale całość tę przenika męskość żywa i czynna. We wszystkich doświadczeniach budowy ras, taksamo jak i w hodowli, wynik zależy od zalet krwi łączonych. Te pierwotne odmiany nie powinny być od siebie odległe. Mieszanie przeciwieństw w naturze może zepsuć najlepszy eksperyment. Pomyślmy tylko o nakładzie czasu i trudu, jakiego potrzebowała natura, tworząc swe wybitne typy ludzkie. Czy jej pracę troskliwą wolno nam psuć nieoględnie"?

Czy ten wizerunek prawdziwego, 100-procentowego Amerykanina, przyszłości, naszkicowany przez angielskiego antropologa, nie wypadł jednak zbyt schematycznie? Czy wysunąwszy sam tak dobitnie znaczenie czynników psychologicznych w kształtowaniu się ras profesor Keith nie zawiódł swych czytelników, dając im na zakończenie tylko fizyczny rysopis? Nie jest nam w Europie obojętnem, jak dziś wygląda i jutro wyglądać będzie ten biały homo americanus, ale ważniejszem o wiele jest i będzie jego duchowy stosunek do człowieka europejskiego, z którego się zrodził. Na to nie odpowie nam antropologja, a odpowie polityka. Nad odpowiedzią „Jonathan" jeszcze się namyśla. Nie zdecydował się jeszcze — he has not yet made up his mind, powiedziałby Anglik. W dosłownem tłumaczeniu: Nie urobił sobie jeszcze umysłu. A jednak przyszłość dwuch ras, europejskiej i amerykańskiej, od tego zależy, czy na miejsce antagonizmów europejskich, zanikających na gruncie amerykańskim, nie wyłoni się stały antagonizm Nowego i Starego Świata.

Ignotus.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

K. IRZYKOWSKI W OBLICZU ROMANTYCZNEGO REKWIZYTU

(CZYLI FELJETONISTA „ROBOTNIKA" W OBRONIE KATASTROF KOPALNIANYCH).

P. Karol Irzykowski w feljetonie swym p. t. „Obrazki Pedagogiczne z wystawy poznańskiej", w 213 numerze Robotnika opisuje, jak zwiedzając ciężki przemysł natrafił na fachowca, który, między innemi objaśnił autorowi Pałuby przekrój kopalni.

P. Irzykowski nie omieszkał z racji tych objaśnień zrobić coprędzej wywiadu z owym fachowcem (sztygarem, czy inżynierem) na temat moich Czarnych Skrzydeł.

O wdzięczna naiwności! Robić wywiad o rzeczywistem życiu kopalnianem z wysłanym na wystawę przez ciężki przemysł sztygarem, czy inżynierem! Zaprawdę, wypaść to musiało mniej więcej tak, — jakby ktoś z fachowym sprawozdawcą, czy stenografem biura sejmowego, zajętym na rozprawie trybunału stanu chciał zrobić wywiad na temat istotnego tekstu przemówień Liebermanna i Paschalskiego!

Wystawowy fachowiec (niewiadomo, czy inżynier, czy sztygar, co odpowiada mniej więcej różnicy między doktorem a felczerem) poinformował p. Irzykowskiego, że mój opis stosunków w Zagłębiu — naogół zgadza się z rzeczywistością.

Cóż na to Robotnik, który piórem samego Niedziałkowskiego dowodził, iż mój opis stosunków Zagłębia urąga rzeczywistej prawdzie?

Wystawowy fachowiec poinformował Irzykowskiego, że mój opis stosunków w Zagłębiu zgadza się z rzeczywistością, na pytanie jednak, czy opisy kopalni i kopalnianych zajść przedstawionych w Czarnych Skrzydłach są wierne i czy wywierają takie wrażenie na fachowcach — zdziwił się nieco tem pytaniem. Dla niego (to jest dla tego fachowca) widocznie „uchodziło za rzecz, która rozumie się sama przez się, że literat na sprawach kopalnianych się nie zna".

Pomińmy tę dość wykrętną, pośrednią i perfidną w nastawieniu odpowiedź. Idźmy dalej.

Sumienny p. Irzykowski nie poprzestaje na niej. Chce wiedzieć dokładnie, on badacz sumienny, gruntowny musi koniecznie zgłębić samą prawdę. Pyta więc o wypadek konkretny, o opis katastrofy w Czarnych Skrzydłach.

Dobra wiara i dobra wola gruntownego badacza, jakże zostaje zawiedziona!

Wywiadywany sztygar „zbagatelizował także i pożar, opisany w Czarnych Skrzydłach". Wystawowy sztygar nie odczuł wcale grozy tego pożaru, ba, *„gdyby był rzeczywistym literatem powiedziałby zapewne, że to rekwizyt romantyczny. Pożary zdarzają się, ale przy dzisiejszych środkach ograniczają się do małej przestrzeni, — nie są straszne"*.

Wobec tego wszystkiego p. Irzykowski doznał rozczarowania, — nie dowierza jednak sobie, a raczej, tak jest pewien fachowości swego wystawowego sztygara i swego własnego odczucia sprawy, iż radzi Wiadomościom Literackim, które korzystnie odniosły się do Czarnych Skrzydeł, by urządziły więcej tego rodzaju wywiadów...

Jakaż piekielna ironja! Co za intuicja, jaka mądrość! Tu jeden człowiek pisze grube dwa tomy, opisuje jakieś pożary, jakieś szyby, wywozowe, powietrzne, jakieś pochylnie, pola kopalniane, odkrywki, a tu drugi, Irzykowski, na mocy jednej przypadkowej rozmowy stwierdza odrazu, że to wszystko blaga!

Czyż rzeczywiście?

Zapewniam p. Irzykowskiego, że dla wielu oka-

zowych sztygarów a także świetnie płatnych dyrektorów i wielu rozmaitych fachowców węglowych a nawet, — niestety, — przeróżnych działaczów politycznych i publicystycznych wypytujących doraźnie o sprawy kopalniane delegowanych na wystawy sztygarów — pożary na kopalniach są istotnie wcale nie straszne a nawet mogą uchodzić za rekwizyt romantyczny.

Zapewniam p. Irzykowskiego, że tacy sztygarzy i różnolitego gatunku fachowcy bagatelizują sobie te romantyczne rekwizyty, a kiedy te „romantyczne rekwizyty" wybuchają nagle, — fachowców takich nie można się doszukać ani dopytać na miejscu takiego „niestrasznego wypadku", gdyż albo się w mysią dziurę chowają, albo (jak to się dzieje w praktyce Czarnych Skrzydeł, oraz w praktyce życia) samarytańską akcję symulują, byle tylko nie zjechać na dół i nie przyjrzeć się dokładnie wybuchowi takiego — „romantycznego rekwizytu".

P. Irzykowski proponuje, aby na ten temat urządziły Wiadomości Literackie, — po doniosłem odkryciu Irzykowskiego na P. W. K. — szereg wywiadów w tej sprawie.

Na Boga! A jeżeli Wiadomości Literackie będą jeszcze raz stronne w tych wywiadach? Nie trzeba tu wywiadów, — p. Irzykowski może sobie poradzić sam, poprostu i klasycznie zapomocą „literatury przedmiotu".

Nie proponpję autorowi Pałuby, — mimo, że go te sprawy węglowe tak interesują — żadnej autopsji. Rozumiem, że może na nią nie mieć czasu i że jako literat woli w danym razie badać gruntownie kina, niż spędzić choćby jeden tydzień na którymkolwiek pokładzie Flory, Niwki, Renarda, Redenu, Paryża, czy Kazimierza.

Jako teoretykowi, — wolno mu to. Nie wolno mu jednak nie znać materjału drukowaneło. Po cóż więc zaleca urządzać wywiady Wiadomościom Literackim? A niechże sięgnie łaskawie do roczników pisma, w którem pracuje, do roczników Robotnika, na któregoto Robotnika łamach każe biednym towarzyszom (o prześliczna ironjo, klasowy panie redaktorze Niedziałkowski) wierzyć w nieomylne słowa fachowca - sztygara!

Nie trzeba tu wcale żadnych wywiadów: P. Irzykowski gdy raczy przerzucić parę latek rocznika swego pisma, natknie się u siebie, w swym Robotniku na opis takiej właśnie niestrasznej (milutkiej może nawet?!) bagatelizowanej przez wystawowych sztygarów katastrofy, — takiego właśnie, — *„przy dzisiejszych środkach nie strasznego, ograniczonego do małej przestrzeni — rekwizytu romantycznego"*.

W łagodnej przygodzie z tym rekwizytem romantycznym znalazło śmierć w ciągu dwunastu godzin kilkudziesięciu górników, „mała przestrzeń", to jest całe jedno pole kopalni zostało zagazowane na dłuższy przeciąg czasu, znaczną część trupów wydobyto coprawda odrazu szybem powietrznym (w kuble, do kija przywiązani po dwóch wyjeżdżali z tego bagatelnego rekwizytu, Panie Irzykowski! (a resztę zdołano odkopać dopiero po paru miesiącach, przy czem dodać tu trzeba dla ugruntowania pojęć p. Irzykowskiego, że ludzie ci tak byli zniekształceni, iż krwawą miazgę zwłok rozpoznać mogły rodziny jedynie po częściach bielizny, lub też obrączkach ślubnych.

Przeczyta pan to wszystko, panie Irzykowski we wcale niedawnych rocznikach Robotnika a z tonu, jakim opisuje te „bagatele niestraszne" korespondent Robotnika wywnioskuje Pan łatwo o wrażeniu, jakie sprawia na zatwardziałych nawet ludziach kopalnianych taki — romantyczny rekwizyt.

Przestudjowawszy choćby pobieżnie te sprawozdania, może zechce Pan pouczyć swego wystawowego fachowca o istocie pożarów na kopalniach?

Mój pożar w Czarnych Skrzydłach, ten to właśnie, — romantyczny rekwizyt, — jest wierną kopją takiego, — „przy dzisiejszych środkach technicznych, ograniczonego do małej przestrzeni pożaru". A może nawet w pewnym sensie opis mój nie jest wierną kopją rzeczywistości? O ile bowiem dla odświętnych sztygarów i innych lowelasów kopalnianych, którzy się koło węgla kręcą, wypadki takie nie są straszne, — mnie przeraziły.

To też za sporządzenie takiego rekwizytu romantycznego ja wrzuciłem dyrektora Coeur'a do szybu, a biednym robotnikom dałem rękoma posła Drążka dziesięcioprocentową zwyżkę płac i buty skórzane do trumny i na wieczną drogę czapki z prawdziwemi lakierowanemi daszkami.

Pewno, że to niewiele! Towarzysze pańscy z Robotnika nie wywalczyli jednak wówczas (zajęci koalicją z endekami) nawet tych podeszew skórzanych, ani nawet porządnych wieńców metalowych na trumny.

Może więc Pan teraz chociażby jako tako uzupełni dawne niedopatrzenia swych kolegów z Robotnika i — tytułem wyrównania dawnych grzechów, — dokładny, wierny opis takiego rekwizytu romantycznego z niedawnych jeszcze wcale roczników Robotnika odczyta?

Juljusz Kaden - Bandrowski.

JESZCZE CIEBIE NIE WIDZĘ...

Jeszcze Ciebie nie widzę, jeszcze Ciebie nie słyszę,
jak pod niebo wyrastasz lub zapadasz w pól ciszę,
i oddechem wszechtreści ogarniając przestrzenie,
z gwiazd na gwiazdy wysyłasz niewidzialne promienie.

Jeszczem może nie dorósł do poznania tej prawdy,
która słońca zapala i kształtuje szmaragdy,
a nadziejom, co zgasły na rozstajach człowieczych,
nową wiosnę zwiastuje i z niedoli je leczy.

Jeszcze może daleko i napewno nie blisko,
bym Twą wielkość ocenił i wrósł sercem we wszystko—
w każdą trawę wciśniętą między ulic kamienie,
i w ten smutek, co pada wydłużonym z dróg cieniem.

Jeszcze Ciebie nie słyszę, jeszcze Ciebie nie widzę,
lecz przeczuwam, że przyjdziesz, ale wiem już
że idziesz,
aby nędzne me serce — czekające ze drżeniem —
porwać w wiry wszechświata i ogarnąć płomieniem.

Z SOKOLICY PIENIŃSKIEJ

Jak ostre lśnienie miecza w zaroślach nadbrzeżnych —
drży Dunajec w wiązankach pian dziewiczo śnieżnych,
by za pierwszym zakrętem — na zielonych zboczach —
zatracić się odrazu dla spragnionych oczu.

Z jastrzębiem, który zawisł w chmurach nieruchomo,
runąć w dół błyskawicą ze skalnego złomu,
i pochwycić w ramiona, jak w szpony tęsknotę,
przeszytą beznadziejnie dunajcowym grotem.

BALLLADA O MŁYNIE

Dudnią koła i tryby, dudnią ściany i szyby,
od poranku do nocy — bez przerwy,
świszczą pasy i sprzęgła, tynk się sypie po cegłach,
niewiadomo doprawdy — co pierwej.

Po tarcicach i belkach coś zawodzi i stęka,
trzeszczą deski sosnowe w pułapie,
wszystkie ławki i zydle pomrukują obrzydle,
jak sprężyny w stuletniej kanapie.

Warczy kółko u stropu, trzeszczy zboże, jak popiół,
na kamienne rzucane łożyska,
z wszystkich szpar i otworów leci mąka do worów,
zataczając tumanem koliska.

Obracają się żarna po łuszczynach i ziarnach,
mielą mąkę aż dudni dokoła,
huczy wodna kaskada, przez stawidło w dół spada —
wśród pośmiechów, jazgotów i wołań.

Skrzypią schody od rana, cień się snuje po ścianach,
choć młynarza już niema od wieku, —
czasem łańcuch zazgrzyta, jakby ktoś chciał zapytać
wszystkich naraz a sobie naprzekór.

Uginają się deski aż dziwuje się Beskid:
cóż za młynarz i skądże on rodem!?
Wszystkie wierzby na drodze przysłuchują się
w trwodze,
nawet zając przykicał nad wodę.

A tymczasem od młyna ziemia aż się ugina,
ciężkim krokiem ktoś stąpa i stąpa, —
psy się zbiegły zdaleka, żaden nie śmie zaszczekać:
taki młynarz to pewnie — zły kompan!

Lecą wory po schodach aż zaparła dech woda:
kto tu takie wyprawia hałasy!?
Świszczą tryby bez końca z nadmiernego gorąca,
i mlaskają, jak stado krów — pasy.

Nikt do młyna nie chodzi, nawet sam ksiądz dobrodziej,
a przechodzień krzyż czyni przy moście,
bo w stojącym tu młynie, w tej zapadłej dolinie,
ktoś o duszę z djabłami gra w kości.

Jeno starzy z tej wioski, pełni wspomnień i troski,
przypuszczają, że dobrze się złoży,
skoro zburzą młyn stary i osuszą moczary,
a w tem miejscu postawią Dom Boży.

DZWONEK PANNY MARJI W GORYCZKOWCU

Wiem, że usłyszę ciebie w ostatniej godzinie,
jak sercem zakołatasz w spiż okrągłych ścian,
i że jakaś modlitwa z dźwiękami popłynie,
pełna łaski poczętej z Chrystusowych ran.

Przyniesiesz odkupienie dla win popełnionych
i dla tych, które jeszcze nie zdołały wzejść,
o, dzwonku, roznoszący w różne świata strony
tę pod sercem poczętą w przebaczeniu wieść.

Z zapachem macierzanek wyrosłych o świcie,
których nic nie zagłuszy w promieniu stu wiorst,
przyniesiesz uśmiech Marji zrodzony w błękicie,
gdzie pod chmurą gradową lśni tęczowy most.

Zbudzisz w milknącem sercu ostatnią tęsknotę,
aby odejść stąd cicho, ciszej niźli cień,
co przeszedł niewidoczny pod zmurszałym płotem,
w południe pełne słońca, w najjaśniejszy dzień.

Obym miał w tej godzinie niezłomną świadomość,
gdy prowadzić mnie będziesz tą z niewielu dróg, —
(o której może tobie coś niecoś wiadomo, —)
że w takt twoich uderzeń idzie ze mną Bóg.

Edward Kozikowski.

* * *

W najbliższym czasie ukaże się na półkach księgarskich nowy tom poezyj E. Kozikowskiego p. t. „W towarzystwie wierzby". Z książki tej wyjęliśmy powyżej kilka wierszy najbardziej charakterystycznych dla ich twórcy.

NA MARGINESIE

W JEDNYM Z OSTATNICH NUMERÓW WIELKIEGO DZIENNIKA PARYSKIEGO „FIGARO" za lipiec, rzutki publicysta paryski p. Stefan Aubac w artykule obszernym p. t. „Prix Litteraires en Pologne" podaje rozumowany przegląd nagród literackich w Polsce, oraz krótką charakterystykę laureatów, którzy już nagrody otrzymali. P. Aubac jest naogół bardzo dobrze poinformowany o nagrodach Warszawy, Łodzi, Krakowa, Poznania, Lwowa. Wspomina też w swym artykule o konkursie dramatycznym krakowskim.

Nie pamięta, czy nie wie jeszcze o stałej nagrodzie literackiej, plastycznej i muzycznej Rzeczypospolitej Polskiej, nie wspomina też o wielkim konkursie górnośląskim, wspaniale dotowanym, rozpisanym na powieść z dziejów powstania górnośląskiego i celem uzyskania artystycznego opisu Górnego Śląska.

Artykuł swój kończy p. St. Aubac następującą apostrofą:

„Właśnie dlatego, że literatura polska mimo wysokiego swego intelektualizmu odbija tak wiernie aspi-

racje ludu polskiego, — uważana jest w Polsce i traktowana jako najdroższy skarb myśli i ducha narodowego. Dlatego też przed literaturą polską rozwija się tak wielka, pewna i bogata przyszłość".

Potężna dziś już instytucja nagród artystycznych państwowych i samorządowych stanowi o zrozumiałej zazdrości i podziwie naszych sąsiadów słowiańskich czechosłowackich i jugosłowiańskich. Ci ostatni zwrócili się niedawno do literackich kół Polski, oraz do samorządów naszych miast z prośbą o nadesłanie odpowiednich statutów i ustaw, dotyczących naszych nagród.

Instytucję polskich nagród literackich rządowych i samorządowych komentują u siebie bardzo żywo literaci krajów bałtyckich, nie mówiąc już o niemcach, którzy podając do wiadomości każdorazowe wyniki głosowania odnośnego jury, zazdrosnemi wykrzyknikami opatrują przeliczone na marki sumy złotych danej nagrody.

Z racji ustanowienia tych nagród państwowych i samorządowych, dzięki którym tyle się mówi wśród artystycznych kół Europy o szacunku dla sztuki i jej rozwoju w Polsce, — trudno na tem miejscu nie przypomnieć tego chóru ironji, złości, gadulstwa i bezmyślnych ataków ze strony pewnego odłamu opinji literackiej i artystycznej w Polsce. Trudno nie przypomnieć tej dawnej kampanji chociażby dla tego, że z taką samą kampanją rozmaitych a społecznych a niedołężnych głowaczów spotyka się dziś kampanja o utworzenie Akademji literatury polskiej.

Pewni ludzie nie mogą, czy też udają, że nie mogą zrozumieć, iż można tworzyć wielkie instytucje, czy organizacje nie dla chęci osobistej rachuby lub korzyści, — lecz w wierze w pożyteczność i konieczność powstania tych instytucyj. Gdy więc garść energicznych ludzi zabiera się do roboty, ożywiona istotną miłością sprawy i — w danym razie koleżeńskiego ogółu, — nuże zaraz krzyczeć i wrzeszczeć, że to klika, mafja i t. p.

Ludzie ci krzyczeli na trwogę, gdy „energiczna klika" organizowała powstanie nagród literackich w Polsce, po czem pierwsi stanęli do składu jury owych nagród i pierwsi zaczęli srogi bój o te nagrody — dla siebie. Żywimy niepłonną nadzieję, — że tę samą drogą przebędą przy formowaniu Akademji literatury polskiej.

* * *

JAKIŚ GŁUPTAK Z WIELENIA NAD NOTECIĄ, korespondent warszawskiej „Polski" w artykule p. t. „Placówka Socjalizmu" skarży się, że gimnazjum tamtejsze Towarzystwa Szkół Pracy stało się obecnie placówką socjalizmu. Na dowód, że się tak stało srogi ów korespondent przytacza między innemi, że w świetlicy internatu znajdują się książki tak moralne, jak „Czarne Skrzydła" Kadena - Bandrowskiego (zwaczalne przez naszych cekawistów!) „Węglarze Zoli" i „Moje Serce Obnażone" Karola Baudelaire'a.

Ktoby to kiedy przypuszczał, że Baudelaire w pozagrobowych swych transformacjach zostanie nakoniec — socjalistą?!

* * *

NOWA ZIEMIA LUBELSKA, w jednym z ostatnich swych dodatków literackich pisze całkiem słusznie (Wiesław Wernic): Programem młodych na dziś i na jutro winno być przedewszystkiem szerzenie kultury duchowej w słowie drukowanem i to tam przedewszystkiem, gdzie brak jej najmocniej daje się odczuwać, a więc nie w Warszawie, ale w Pińsku, Kołomyji, Grodnie, Łucku... Tam jest szerokie pole pracy ledwie zaczętej, tam gleba nietknięta największe plony wyda. Tyle mówią dzisiaj młodzi o społecznem znaczeniu prozy i o społecznem znaczeniu poezji, powinni coś wreszcie powiedzieć o znaczeniu pracy swej która w obecnem stadjum swego rozwoju jest tylko wegetowaniem pasorzytów.

* * *

„SZTUKI PIĘKNE", wychodzące w Krakowie w swym numerze lipcowym przynoszą przedruk artykułu Dodatku Literackiego Głosu Prawdy (Nr. 286) p. p. „Dwie i pół minuty sztuce polskiej". W artykule tym zajmowaliśmy się krytyką i zestawieniem pozycyj budżetowych departamentu kultury i sztuki, poświęconych literaturze, plastyce i muzyce.

* * *

PAT DONIÓSŁ NIEDAWNO, że P. W. K. zwiedził profesor katedry dziennikarstwa w Monachjum dr. Karol d'Ester. Profesor dziennikarstwa, katedry dziennikarstwa w Monachjum. Czy wobec tego, że na uniwersytetach obcych powoływane są już do życia katedry dziennikarstwa, — zgodzą się kiedyś nareszcie nasze senaty uniwersyteckie na powołanie do życia katedr literatury polskiej współczesnej?!

* * *

OSTATNI NUMER „MUZYKI" (za czerwiec) doskonale redagowanego miesięcznika muzycznego przynosi, między innemi bardzo ciekawy artykuł p. Otto Gombosi o znakomitym lutniście, cieszącym się sławą wszechświatową o tak gorąco kochanym kiedyś i uznawanym w Polsce tj. o Walentym Bakfarku. Z artykułu p. Gombosi dowiadujemy się, że Bakfark był nietylko świetnym kompozytorem i instrumentalistą, lecz, że odgrywał bardzo dwuznaczną rolę na dworze polskim, jako długoletni konfident księcia Albrechta pruskiego. Konfidencja ta źle skończyła się dla znakomitego artysty, wygnany bowiem został z Polski a dom jego spalono.

W tymsamym numerze „Muzyki" spotykamy ciekawy artykuł wybitnego muzyka niemieckiego Pawła Hindemith'a. Treścią artykułu są rozważania na temat współczesnej krytyki muzycznej, przewagi prasy nad opinją muzyków, wreszcie oryginalny pomysł, ustanowienia trybunału złożonego z równej ilości muzyków poważnych i krytyków gwoli rozpatrywania i łagodzenia sporów, wynikających obecnie stale między kompozytorami a przedstawicielami opinji publicznej.

Na samym początku tego ciekawego numeru Muzyki w rubryce Antologja tekstów poetyckich znajduje się (prawdopodobnie uznany przez Redakcję, jako wzorowy!?!) przekład tekstu do serenady Schuberta, z cyklu „Schwanengesang", — Z. Jachimeckiego. Mamy dla znanego i zasłużonego muzykologa, jakim jest p. Jachimecki szczere uznanie, przekład jednak tak

powszechnie znanego utworu, uważamy za nieudały, a nawet fatalny. Zwroty (o słowakach) że „srebrnym głosem do pieszczoty chcą nakłonić nas" lub — „czekam ciebie z drżeniem w łonie", lub wreszcie — „tu do gaju przyjdź dziewczyno, do mnie skieruj krok", to już conajmniej „naiwności", których nie wypada drukować „Muzyce".

* * *

CENTRALNA EUROPA (Centralnaja Ewropa, tygodnik wydawany po rosyjsku w Pradze), w numerze z 1/VIII przynosi obszerniejszy artykuł o sztuce czechosłowackiej w Poznaniu, G. Majkowskiego przedrukowany w Centralnej Europie z Lidovych Novin. Autor wylicza tu teatralne sztuki wystawione w Poznaniu tj. Langera i K. Czapka, opery Smetany (Dalibor) i Janaczka, wymienia poznańskie radjo i jego artystów, produkujących często czeską muzykę, z pośród dziennikarzy i publicystów poznańskich cytuje, Jarochowskiego, Zegadłowicza, Noskowskiego, Kollera, Chrzanowskiego, Marynowskiego i Leona Przybyszewskiego.

* * *

POPOLO DI BRESCIA-BRESCIA w rubryce korespondencyj z Polski (Polonia) przynosi dłuższy artykuł poświęcony twórczości J. Kaden - Bandrowskiego, jako jednego z pierwszych pisarzów ostatnich walk o niepodległość Polski, Artykuł ten kończy się omówieniem „Miasta Mojej Matki", które korespondent włoski uważa za książkę całego pokolenia.

* * *

LITERARISCHE WELT w jednym z numerów lipcowych przynosi w skórcie tezy dyskusji toczonej swego czasu na ogólnym zjeździe literatów polskich w Poznaniu, uwazając sprawę Akademji literatury polskiej za korzystnie przesądzoną.

jkb.

WIELKA USTAWA BIBLJOTECZNA

Dyskusje nasze o potrzebie ustawy, obowiązującej do zakładania jednej przynajmniej bibljoteki publicznej w każdej gminie na całym terenie Rzplitej, ubogie są dotychczas niezmiernie w jakieś wyniki praktyczne. Poza grupą kilkunastu a może nawet kilku tylko bibljotekarzy, pracujących na niewdzięcznej niwie popularyzacji tej idei wśród czynników miarodajnych i społecznych, powołanych resortowo i ideowo do wglądu, czy za płotem szkoły powszechnej dzikie pole powrotnego analfabetyzmu ma być stale ozdobą polskiego krajobrazu, zagadnienie czytelnictwa powszechnego nie jest traktowane jako doniosły problem społeczno-oświatowy. Zredukowane w oczach ogółu do jakiegoś tam specjalnego bibljotecznego kłopotu nie może się doczekać ustawowego rozstrzygnięcia i sprawa polskich bibljotek gminnych zdaje się podzielać los niejednego procesu beatyfikacyjnego, w którym moc skrupułów, wahań i wątpliwości plącze się do nieskończoności, gromadząc kurz na aktach, nawet sprzątanie którego jest rzeczą przedwczesną lub czynnością podobną do odkorkowywania zamało jeszcze omszałego gąsiorka na progu znienacka przewietrzonej piwniczki.

Nie przewidywali chyba znakomici pisarze angielscy Thackeray, Dickens i Lytton, uświetniając udziałem swoim inaugurację pierwszej w Anglji publicznej bibljoteki w r. 1849, że nie minie okres trzech ćwierci wieku, a na kontynencie Europy znajdzie się parlament, który jednomyślnie uchwali obowiązek każdej gminy w państwie do zapewnienia jednej przynajmniej bibljotece w jej obrębie środków dla normalnego funkcjonowania, a tam, gdzie brak jakiejkolwiek czytelni publicznej ustalona będzie zasada jej założenia na żądanie jednej piątej wyborców — mieszkańców stałych danej gminy. Dzięki takiemu postawieniu sprawy dostarczanie ludności książek do czytania przy pomocy bibljotek staje się funkcją użyteczności publicznej, powołaną do zaspokojenia każdego obywatela, niezależnie od miejsca jego zamieszkania, bez żadnego ograniczenia czy kwalifikowania jednostek, mających prawo do korzystania z zasobów tych bibljotek publicznych. Bibljoteka dla wszystkich dostępna służy podwójnie potrzebom publicznym, udostępniając książki na miejscu i dostarczając je do rąk własnych czytelników, t. j. wypożyczając je do domu stałym mieszkańcom danej gminy.

Pobudki i przyczyny, które skłoniły państwo do ujęcia w jednolite ramy organizacji bibljotek publicznych były wynikiem wielkiej wojny i wielkich przeobrażeń społecznych: minister apelował do posłów parlamentu, aby ustawę tę uchwalili, uzasadniając jej rację bytu wbrew tym, którzy twierdzili, że będzie to tylko „przepaścią pochłaniającą miljonowe sumy", następującemi trzema głównemi zasadami: odrodzenie narodu w całości jest niemożliwe bez wydatnego podniesienia jego poziomu intelektualnego; wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia pracy dla robotników udziela warstwie robotniczej osiem godzin dziennie wypoczynku, i reforma ta pozbawiona byłaby głębszych skutków, gdyby zaniedbano odpowiedzi na pytanie, jak ten wypoczynek spędzać będą robotnicy? Trzecim powodem, uzasadniającym potrzebę ustawowego ugruntowania państwowej sieci bibljotek, był wzgląd na drożyznę książek.

Jeśli nadmienimy, że obserwatorzy bibljotek w tym kraju stwierdzają, iż upaństwowione bibljoteki nie zmieniły właściwie swego oblicza ideowego, że dalej czerpią z ich zasobów najszersze warstwy ludności, trudno się oprzeć wrażeniu, że jednak taka właśnie ustawa przydałaby się Polsce. Ma ją tymczasem w pełni zastosowania — Belgja.

Niezwykły rozwój bibljotek w Anglji zapewniła ustawa znana pod nazwą Ewarts Act z r. 1850; ustawa belgijska z r. 1921 stanowi znaczny krok naprzód w dziedzinie ustawodawstwa bibljotecznego, opiekując się inicjatywą jednej piątej obywateli gminy, żądających założenia bibljoteki publicznej, gdy Ewarts Act, wymagał połowy głosów wyborców danego okręgu, oświadczających się za założeniem bibljoteki. Wielką zasługą ustawy belgijskiej jest umożliwienie istniejącym już bibljotekom korzystanie z subwencji komunalnej, pod warunkiem poddania się kontroli państwowej w zakresie administracyjnym, gdyż na kierunek

ideowy bibljoteki państwo wpływu się zrzeka. Ustawa cała składa się z 9-ciu artykułów zaledwie, aczkolwiek praktyka administracyjna w tej dziedzinie pozwala na nader szczegółowe prawnicze komentowanie każdego artykułu, każdego niemal zdania i terminu — jak „lokal odpowiedni", „powinna być dostępną dla wszystkich", „pozostawać pod kierownictwem bibljotekarza" i t. p. — tak że powstało dzieło całe, „commentaire pratique" prawnicze tej ustawy pióra adwokata P. Rechta, inspektora bibljotek publicznych, p. t. „Les Bibliothèques Publiques en Belgique" (Bruxelles 1928, 152 str.).

Uchwalona jednomyślnie przez parlament belgijski dziewięć lat temu omawiana ustawa przysporzyła Belgji 786 nowych bibljotek, a przedmiotem jej opieki jest obecnie ogółem 2156 bibljotek. Nie wszystkie gminy belgijskie posiadają już bibljoteki, ale liczba gmin takich maleje z biegiem lat: było ich 1490 dziesięć lat temu, obecnie jest tylko 1026. Wszystkie prawa uchwalone w Belgji po Wielkiej Wojnie, były owocem kompromisów, ustępstw wzajemnych, gdyż żadne stronnictwo nie rozporządzało absolutną większością w izbie poselskiej. Na ustawę bibljoteczną miało to ten wpływ, że prawa i lewa strona izby, uchwalając obowiązek państwa i samorządu do krzewienia bibljotek powszechnych, zastrzegły w konstrukcji tej ustawy jaknajwiększy szacunek i tolerancję dla każdego kierunku ideowego, gdy chodzi o dobór książek dla bibljoteki, o przejęcie przez państwo już istniejących księgozbiorów publicznych. Belgijska ustawa bibljoteczna z dn. 17 października 1921 r., zadowoliła w zupełności wszystkie kierunki ideowe i zarówno katolicy jak i socjaliści są z niej zadowoleni, gdyż stosowanie ustawy nie może mieć za cel krępowanie czyjejkolwiek akcji ideowo-propagandowej na terenie bibljotekarstwa publicznego.

Trzydzieści lat temu zdawało się, że ośrodkiem oświaty pozaszkolnej będą uniwersytety ludowe. Sytuacja obecnie zmieniła się gruntownie. Na czele instytucyj oświatowych uzupełniających wysunęła się bibljoteka publiczna. Belgijska ustawa — to wielki przykład dla innych narodów, jak dalece zagadnienie czytelnictwa powszechnego jest problemem godnym państwowej opieki i zainteresowań wszystkich reprezentantów politycznych narodu, a nie wyłącznie tylko grupy entuzjastów i pionierów tej sprawy wśród bibljotekarzy danego państwa.

K. Zieleniewski.

Z ŻYCIA KULTURALNEGO WŁOCH

Historja Wenecji.

Pompeo Molmenti wydał dzieło, które zajmuje się życiem Wenecji w czasach jej najwyższego rozkwitu, a zatem od wieków średnich do początków wieku siedemnastego, kiedy to potężna przedtem rzeczpospolita wenecka zaczęła zwolna tracić na znaczeniu i blasku. „La storia di Venezia nella vita privata" (Dzieje Weencji w codziennem życiu) jest nader zajmującą lekturą posiadającą zarazem poważną wartość historyczną.

Piękny druk i liczne ilustracje potęgują dodatnie wrażenie.

* * *

Nowe Muzeum we Florencji.

W pięknej „Fiorenza", dawnej, bogatej rezydencji Medyceuszów powstało obecnie Muzeum medycejskie, które znalazło godne pomieszczenie w dawnej siedzibie Medyceuszów, w pałacu, zwanym dziś „Palazzo Riccardi".

Pałac ten był pierwszą wogóle budowlą renesansową, wzniesioną w roku 1444, za czasów Cosima Starego według planów artysty Michelozzo. Medyceusze zajmowali go przez lat sto, potem przenieśli się do reprezentacyjnego pałacu della Signoria, w końcu zaś do wspaniałego „Palazzo Pitti", w którym mieści się światowej sławy galerja obrazów. Dawny zaś pałac Medyceuszów przeszedł w posiadanie markiza Riccardi, od której to rodziny przybrał obecną nazwę. W tym to pałacu, ozdobionym wspaniałemi freskami malarza Benozzo Gozzoli zgromadzono cenne pamiątki po Medyceuszach.

Sala Wawrzyńca Wspaniałego poświęcona jest dziejom pałacu; zebrano tu liczne pamiątki i dokumenty, związane ściśle z domem Medyceuszów. W dawnej logji pomieszczono zbiory, dotyczące „Ojca rodu", Cosima Starego i jego syna Piotra, ojca sławnego Lorenzo Magnifico. Jego portrety, autografy i liczne pamiątki, pozostające w związku z najświetniejszą epoką republiki florentyńskiej znalazły pomieszczenie w osobnej sali, gdzie nie brak prawdziwych dzieł sztuki, stanowiących wraz z licznemi mapami i sztychami zarazem ważny dokument historyczny.

Osobna znów sala poświęcona jest dziejom księstwa toskańskiego, które w swym rozwoju nawiązywało umiejętnie do świetnych, renesansowych tradycyj medycejskich.

* * *

Marinetti autorem słownika lotniczego.

Prawdziwą sensacją dnia stał się we Włoszech wydany przez Marinetti'ego słownik lotniczy.

F. T. Marinetti, sławny twórca futuryzmu, członek nowo utworzonej Akademji włoskiej jest gorącym zwolennikiem lotnictwa i przy dzielnej współpracy poety futurystycznego, Azari'ego, znanego lotnika, ułożył słownik lotniczy, który jako dzieło dwuch poetów futurystów, obudził wielkie zainteresowanie w sferach litaerckich ;prasa poświęciła mu liczne feljetony.

Przez fachowców oceniony jest ten słownik bardzo przychylnie jako spełniający doskonale swe zadanie.

* * *

Giovanni Gentile.

Znany reformator nowoczesnego szkolnictwa, senator Giovanni Gentile, którego reformy znalazły żywy odźwięk w całym świecie kulturalnym, rozpoczął

obecnie nakładem znanej medjolańskiej firmy Treves kompletne wydanie swoich dzieł świetną książką: „Fascismo e cultura". Wyszło też już dzieło „Myśl polityczna dziewiętnastego wieku", pozatem liczne studja z zakresu literatury: o Dantem, o Leopardim, o Mazzonim i inne. Najbliższe tomy obejmą dzieła z dziedziny filozofji i szkolnictwa.

* * *

Propaganda książki we Włoszech.

W związku z odbytem we Włoszech „świętem książki" i licznemi przemówieniami okolicznościowemi i fachowemi artykułami posła do parlamentu, Franco Ciarlantini, jednego z najwybitniejszych we Włoszech propagatorów książki i bibljotek prowincjonalnych zamieścił znany krytyk literacki i esteta, Ugo Ojetto, na łamach „Corriere della Sera" artykuł pod tytułem: „Libri e lettori, editori e libraí" („Książki i czytelnicy, wydawcy i księgarze"). Ojetti kładzie główny nacisk na bibljoteki ludowe i szkolne w najmniejszych nawet miejscowościach ,aby za małą opłatą jak najszersze warstwy społeczeństwa miały możność zetknięcia się z książką.

„Książka jest istotą żywą" — powiada Ojetti — nie wystarczy czytać o niej w gazecie, należy ją widzieć, dotknąć się jej, badać ją, przebywać z nią długie godziny, by ją znać i rozumieć. I to od najwcześniejszej młodości należy się z nią zaznajomić. Nic nie pomogą najbardziej udane święta książki i najrozumniejsze prelekcje, jeśli książka nie dotrze do najszerszych warstw społeczeństwa na stałe. Szkoła nie wystarczy, daje ona tylko pewne wskazówki, ale właściwej drogi w życiu szukamy już sami, co nam ułatwiają przedewszystkiem książki".

Wielką winę braku poczytności książki przypisuje Ojetti w głównej mierze księgarzom, nie umiejącym bezwarunkowo zająć się propagandą książki, przeciwnie nawet działającym wprost szkodliwie i hamująco. Za taki hamulec uważa Ojetti między innemi dziwne postanowienie księgarzy medjolańskich, którzy wyznaczają wyższą cenę na swoje wydawnictwa, sprzedawane poza Medjolanem.

Jako niezawodny środek poprawy istniejących stosunków na tem polu uważa Ojetti obok obywatelskiej akcji księgarzy li tylko jak najliczniejsze zakładanie bibljotek i wypożyczalni książek.

* * *

Nowa powieść Gracji Deledda.

„Il vecchio e i fanciulli" („Starzec i dzieci") oto tytuł ostatniej powieści laureatki Nobla, Gracji Deledda, która w swych utworach maluje zwyczaje, obyczaje i duszę ludu na Sardynji, swej ojczystej wyspie.

Także najnowsza powieść cenionej autorki rozgrywa się wśród ludu sardyńskiego, z prawdziwą maestrją kreśli autorka środowisko i charakter bohaterów.

Żywość stylu, siła i barwność potęgują wrażenie powieści, która obok zajmującej treści z życia wojowniczego i dzielnego ludu z okolic rodzinnego Nuoro czy Cagliari pociąga czytelnika barwnemi soczystemi opisami przyrody, jakoteż prawdziwością i głębią psychologiczną.

Poezja, która nas owiewa we wszystkich utworach Gracji Deledda, dodaje ostatniej jej powieści wiele wdzięku i uroku.

* * *

Książki o Sardynji.

Valentino Martelli, sardyńczyk z pochodzenia i doskonały znawca skarbów naturalnych i kultury owej skalistej wyspy, która po dzień dzisiejszy zachowała liczne cechy charakterystyczne w życiu i sztuce, wydał książkę pod tytułem: La Sardegna e i Sardi" (Sardynja i sardyczycy), w której autor kreśli w sposób umiejętny i zajmujący całkowity obraz Sardynji tak pod względem położenia geograficznego i stanu gospodarczego, jakoteż pod względem jej kultury i wybitnie charakterystycznej sztuki ludowej. Książka Martelli'ego daje dokładny obraz Sardynji dzisiejszej i pozwala wnosić o jej rozwoju na przyszłość.

Martelli przełożył też na język włoski „Voyage en Sardaigne" Alberta La Marmora, podstawowe dzieło w czterech tomach, dotyczące Sardynji.

Ostatnio zaś przełożył Martelli książkę Maksa Leopolda Wagnera: „La vita rustica della Sardyna rispecchiata nella sua linqua", która jest doskonałym przewodnikiem naukowo literackim po Sardynji.

Fr. S.

ŚWIAT PODHALAŃSKI — SKARBEM KULTURY POLSKIEJ

J. G. H. Gawlikowski „Bajda o Niemrawcu".

Podhale wraz z góralszczyzną odgrywa w sztuce, a zwłaszcza literaturze polskiej, niepowszednią rolę.

W galerji pisarzy tej miary, co Kasprowicz, Tetmajer i Orkan, zjawia się oryginalna postać autora „Bajdy o Niemrawcu". J. G. H. Pawlikowski jest jednym z niewielu ludzi w Polsce, który łączy w sobie umysłowość t. zw. inteligenta — „Lacha" z dolin, z klasyczną psychiką góralską. Ukształtowało się ono w epoce wczesnego dzieciństwa, gdy jako młody chłopiec wychowywał się w Zakopanem na Kozińcu, wśród górali zaprzyjaźnionych z czcigodnym „wielgomożnym" Janem Gwalbertem Pawlikowskim, ojcem autora „Bajdy o Niemrawcu". Młody „Jaś z Kozińca", zgóralizowany w dzieciństwie, mówiący do dzisiejszego dnia najczystszą i najpiękniejszą gwarą góralską, jakiej nie słyszy się już prawie w samem Zakopanem, jest przedstawicielem ciekawego typu „pana-górala".

Góry hipnotyzują i wiążą z sobą na zawsze. Lecz aby być złączonym z niemi tą magnetyczną siłą, trzeba się urodzić „człowiekiem gór". Pawlikowski reprezentuje klasyczny typ człowieka gór, który czuje i myśli po góralsku.

Jest to dowodem tajemniczej siły tkwiącej w góralszczyźnie. Nie będzie w tem żadnej przesady, ani

nieścisłości, jeżeli zjawisko to określimy „narodowością góralską".

Bajda o Niemrawcu jest spłaconym przez Pawlikowskiego długiem wdzięczności wobec góralszczyzny, która wzbogaciła jego życie archaiczną kulturą prymitywu, zarówno w treści, jak i w formie.

W „Bajdzie" niema legendarnego bohaterstwa i junactwa postaci tetmajerowskich, ani beznadziejności „Skapanego świata" Orkana.

Pawlikowski daje nam współczesność góralską owianą „próbkami" mitu tatrzańskiego. I chociaż autor zastrzega się, że postacie z „Bajdy" w legendarnym świecie tatrzańskim nie istnieją, przyznaje jednak, że pomysł stworzenia tej pięknej i pełnej humoru mitologicznej legendy o wietrze halnym i jego wiaterkach dały mu dwa szczegóły opowiadań za chłopięcych lat zasłyszanych.

Jeden — to „gniazdo" i „młode" wiatru halnego w dolinie Pańszczycy, bez jakichkolwiek bliższych określeń. Drugi — to rodzaj przesądu o porywaniu tych, co serdaka nie dopną w czas wiatru. Do tego dodać należy żartobliwą przymówkę o dziewczętach, które wiatr przyprawił o macierzyństwo...

Jak widzimy więc, mitologja „Bajdy" bierze swój początek z oryginalnych „szczegółów", posiadających jednak dostateczną konkretność, aby na ich podstawie snuć dalej legendę o halnym i jego psotach.

„Gadka", zasłyszana od Pawlikowskiego, ma wszelkie cechy archaicznej autentyczności, gdyż stworzył ją człowiek myślący i czujący po góralsku, napewno czystszy góral, niż niejeden dzisiejszy Podhalanin.. Pawlikowski zaryzykował w swem opowiadaniu połączenie świata rzeczywistego z mitycznym na jednym planie.

Przy konkretnej w swym prymitywie, wyobraźni ludowej, trudno o inne rozwiązanie, tego najważniejszego problematu artystycznego w opowieści o Niemrawcu.

Dla „inteligentów", wypranych do cna z resztek bezcennego według mnie prymitywu, będzie to „opera".

Góralszczyzna jest dla nich światem obcym i nazawsze zamkniętym. Jest to zupełnie dla mnie zrozumiałe.

Tetmajer stworzył w „Skalnem Podhalu" górali takich, jakich widział w swojej wyobraźni, pełnych szlachetnego bohaterstwa, gotowych do heroicznych czynów dla byle fantazji, obdarzonych nadludzką siłą (której im zresztą i dzisiaj nie brakuje), odmaterjalizowawszy ich charaktery.

Pawlikowski, wprowadzając potrzebne mu do akcji postacie, daje nam żywych ludzi i realizm ten, jak powiedziałem, przelewa również na świat fantastyczny, podlewając go rasowym humorem góralskim.

Scena w karczmie Alojzego Capka, namalowana jest z kapitalnym i epickim rozmachem najlepszego gatunku.

Język, którym mówią górale z „Bajdy", jest czystą gwarą, szorstką, chropawą, lecz jakże plastyczną. Zgadzam się najzupełniej z Pawlikowskim, że „w pisowni fonetycznej spotyka się dziwolągi. powstałe z nadmiernego koszlawienia słów, które nie dają laikowi zgoła pojęcia, o języku ludowym, pięknym, jak stare, drewniane kościoły, suggerują natomiast mylne przekonanie o jego prostackiej indolencji. Większość bowiem inteligencji, dzięki upartej niechęci do powierzchownego bodaj studjum historyczno-językowego, nie wie o tem, że to właśnie nasz literacki, „pański" język zubożony został przez uproszczenie pisowni i, co za tem idzie nienaturalne wymawianie, że zatem język ludowy jest bogatszy w dźwięki i muzykalniejszy, a jego wymowa nie jest dziawoleniem dziecka. Wystarczy zresztą zainteresować nieco słuch muzykalny, aby się o tem przekonać".

Książka Pawlikowskiego dowodzi, że siły witalne góralszczyzny, pomimo kilkudziesięciu lat „eksploatacji" artystycznej są nieprzebrane.

„Opowieścią" swą stanął Pawlikowski w rzędzie najwybitniejszych prozaików literatury podhalańskiej, jakże odmiennej rasowo od snobistycznych sztuczek i kawałów „ultra-moderny" literackiej, będącej w istocie tylko dobrze reklamowanym i sprytnie eksploatowanym sklepikiem pisarskim, mającym tyle wspólnego ze sztuką, co cudowne słowo góralskie „otawa" ze zdetronizonym koszmarnym „szlagierem".

M. Rytard.

POLONICA FRANCUSKIE

Fredro na scenie francuskiej.

Towarzystwo przyjaciół Polski w Paryżu powzięło inicjatywę udowodnienia Francuzom, że Polakom wśród innych zalet nie brak i daru najszczerszej wesołości.

W tym celu została odegrana w Paryżu kilkakrotnie i w najrozmaitszych środowiskach wesoła komedja J. A. Fredry „Consilium facultatis", tłumaczona na język francuski przez J. Kroczyńskiego i Różę Bailly pod tytułem „Trois Médecins pour un Malade". Reżyserował artysta „Odeon" Paul Oettly.

Na każdem przedstawieniu komedja ta cieszyła się nadzwyczajnem powodzeniem, wchodząc jako specjalna atrakcja do programu wieczorów propagandowych na rzecz Polski. Wiadomość o powodzeniu tej komedji rozniosła się wkrótce po całej Francji i ze wszech stron nadchodzić zaczęły zapotrzebowania egzemplarzy dla przedstawień w kołach amatorskich, w towarzystwach teatralnych, w seminarjach duchownych i t. d. Wogóle „Consilium Facultatis" doszło już do 100 przedstawień w języku francuskim, a powodzenie to w najbliższej przyszłości nie osłabnie i w ciągu całego bieżącego roku sztuka pisarza polskiego przemówi do tysięcy widzów Francuzów.

Fredrę — ojca mają możność ocenić Anglicy i Amerykanie, dzięki przekładowi „Dam i Huzarów". Może we Francji Fredro — syn utoruje drogę ojcu?

* * *

Polak odkrywcą Ameryki.

W paryskiej serji wydawnictwa J. Plona p. t. „Powieści o wielkich ludziach" wydana została niedawno książka napół uczona, napół powieściowa, a w każdym razie erudycyjna Mariusa André „O prawdziwych przeżyciach Krzystofa Kolumba".

Właściwym odkrywcą Ameryki, jak to przypomina M. André, t. j. tym, który zdał sobie sprawę, że jest to nowa nieznana część globu ziemskiego, był żeglarz hiszpański Vasco Nuney de Balboa. Kolumb zaś odkryty przez siebie ląd uważał za Azję, mając całą uwagę pochłoniętą szukaniem nowych dróg do Indyj Wschodnich. Dopiero Balboa, przeszukując ziemie odkrytej przez Kolumba Panamy, dotarł do brzegów Oceanu Spokojnego i wziął Pacyfik w posiadanie. Było to w roku 1513.

Ale André ukazuje nam jeszcze jednego człowieka, który o rok wcześniej przed Balboa odkrył Ocean Spokojny, a zatem i Amerykę, jako osobną część świata.

Był to Polak.

Nie był ten rodak nasz z XVI wieku żadnym rycerzem, ani podróżnikiem, ale mądrym i pobożnym teologiem krakowskim i uczonym profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie stanął jak Balboa, z okrzykiem entuzjazmu nad brzegami Pacyfiku, ale potęgą swej naukowej intuicji doszedł do przekonania, że po drugiej stronie nowoodkrytego przez Kolumba lądu musi być jakieś ogromne morze, oddzielające ten ląd od Azji.

Mężem tym był kosmograf i geograf polski, Jan ze Stobnicy, zwany inaczej Stobniczka, autor dzieła łacińskiego p. t. „Wprowadzenie do Kosmografji Ptolomeusza", przenaczonego jako podręcznik dla młodzieży uniwersyteckiej.

W tej „Kosmografji", wydanej w r. 1512 (a więc na rok przed odkryciem Balboa) znajduje się mapa, na której przedstawiono przesmyk Panamy i trzy czwarte Ameryki Południowej, a pomiędzy jej zachodniemi brzegami a wybrzeżem wschodniem Azji oznaczono wielki ocean, większy od Atlantyku. Był to Pacyfik. Ameryka uznaną tu została jako odrębna, nowa część świata.

Uczeni polscy znali oczywiście tę mapę i uważali ją za najwcześniejsze u nas echo odkrycia Nowego Świata, ale dopiero francuski pisarz i znawca Ameryki Południowej podkreślił całą doniosłość i epokowość odkrycia mistrza Jana ze Stobnicy, który dotarł, swoją wyostrzoną na scholastyce myślą do przepastnych, jak wieczność, głębin Pacyfiku, i jego ręka pierwsza skreśliła na mapie kontur przeczutego przez niego Oceanu.

* * *

Polski dom akademicki w Paryżu.

We wszystkich miastach uniwersyteckich powstają po wojnie domy akademickie, umożliwiające studentom pobyt w mieście, w którem im studjować wypada.

Paryż, który od wieków gromadzi w koło swoich murów uniwersyteckich młodzież obcą, z najdalszych zakątków świata przybyłą, stoi przed zadaniem budowy całej kolonji akademickiej. Dzięki pomocy wielkiej fundacji Rockefellera na gruntach pofortecznych Paryża poczęto budować taką kolonję — „cité universitaire" — przeznaczoną wyłącznie dla młodzieży kształcącej się w wyższych uczelniach. Reprezentowane też będą wszystkie kraje i narody świata. Architektura domów akademickich w stylu stosuje się do pierwiastków narodowych. W ten sposób powstaje oryginalna, wielce urozmaicona szeroka aleja, mająca po przeciwnej stronie znacznych rozmiarów park, przeznaczony dla licznych mieszkańców kolonji.

Śród domów akademickich nie może brakować polskiego domu. W lutym 1928 r. zorganizował się polski komitet budowy domu akademickiego w „cité universitaire", w skład którego wchodzą ambasador i ambasadorowa Chłapowscy, pani Curie - Skłodowska, przedstawiciele społeczeństwa polskiego w Paryżu, oraz prof. Honorat, senator, przewodniczący fundacji.

Plac pod polski dom akademicki przedstawia się okazale. Wychodzi na trzy fronty, może więc być architektonicznie rozwiązany w sposób nader korzystny. Komitet wymaga minimum około 100 izb. Najekonomiczniej byłoby urządzić 150 pokojów. Fundusze na wystawienie domu nie mogą płynąć wyłącznie z kasy rządu, musi tu dopomóc społeczeństwo.

Dom byłby przeznaczony nietylko dla studentów ale również dla młodych uczonych (może również i literatów?), przybywających coraz częściej do Paryża. Przewidziane są pozatem — czytelnia, sala odczytowa, sala przyjęć; kawiarnia, cukiernia, restauracja będą wspólne dla wszystkich narodowości. Budowa domu akademickiego polskiego ma być rozłożona na trzy lata. Z wiosną 1930 r. komitet pragnie rozpocząć budowę na gruncie. Do użytku chce oddać dom na jesieni 1932 r.

Niektóre domy akademickie w tej kolonji już stoją pod dachem. Niechże jaknajprędzej nie zabraknie wśród nich polskiego domu.

* * *

Tradycje propagandy antypolskiej.

Po rozbiorze Polski rząd rosyjski, obawiając się nurtujących Francję prądów polonofilskich, zasypywał Paryż swemi wydawnictwami propagandowemi.

F. A. Ossendowski tak opisuje, we wspomnieniach swoich z pobytu w Paryżu, jak trafił na druk podobny:

„Pisałem w Paryżu książkę i pracowałem tam w Bibliothéque Nationale, było chłodno i wilgotno, ale wertując różne „białe kruki" z początku XVII wieku, potrzebne mi dla nowej powieści historycznej, zajrzałem też do sekcji wieku XVIII i omal szlag mnie nie trafił, krew uderzyła do głowy. Znakomicie się rozgrzałem!".

Trafił bowiem nasz pisarz na książkę, sam tytuł której wystarczy przytoczyć, aby zrozumieć z jakiego zatrutego źródła zapamiętałej nienawiści pochodzi ten druk. Brzmi on:

„Les Antropofages de l'Europe ou les Polonais comme ils sont en vérité".

A więc: „Ludożercy Europy czyli Polacy w rzeczywistości".

„Gdy przerzucałem, pisze F. A. Ossendowski, — pożółkłe kartki tego pamflete, gorąco mi się zrobiło, bo przekonałem się, że anonimowy autor zobrazował społeczne wady Rosji i przypisywał je nam — Polakom".

W stokilkadziesiąt lat później na tejże grządce ukazały się kwiatki takie, jak d'Etchegoyena „Pologne... Pologne..." lub Martela „La Pologne et nous".

Zwłaszcza tego ostatniego autora związki z pewną placówką poselską rosyjską na Zachodzie nie stanowią obecnie wielkiej tajemnicy.

Wszelka propaganda ma swoją historję.

T. Gleyder.

Z GALERJI TYPÓW DAWNYCH DZIENNIKARZY WARSZAWSKICH

I.

Rok jubileuszowy dla prasy polskiej nasuwa szereg wspomnień, które się wyniosło bądź z własnej obserwacji, bądź z domowych tradycyi o tych dziennikarzach warszawskich, których sylwetki, jako redaktorów lub współpracowników pism pozostawały jedynie w ustnej legendzie. Samo pojęcie dziennikarza było w owych czascah tak dalece różne od dzisiejszego, że musimy się nad tem zatrzymać na chwilę, aby zrozumieć, jakie warunki społeczne urobiły tę plejadę, z której niejeden może być zaliczony do bardzo szanownej zresztą galerji oryginałów. W okresie między jednem a drugiem powstaniem dziennik musiał zastępować książkę (przeważnie zakazaną) i trybunę polityczną i katedrę uniwersytecką i estradę prelegenta. Szkołę Główną założono na krótko przed powstaniem styczniowym, uniwersytet warszawski nie istniał od lat całych, pokolenie ówczesne, o ile chciało zdobywać t. zw. wyższe wykształcenie, musiało wyjeżdżać zagranicę lub do cesarstwa, odczyty publiczne w Warszawie z reguły przez dłuższy czas były zakazane. Do pocztu tych wzniosłych ról, jakie miały zastępować szpalty dziennika, jeden z ówczesnych redaktorów dodał patetycznie:

— ...I kazalnicę kościelną.

Przesady wielkiej w tem nie było, jeżeli się zważy, że nawet kazalnice kościelne były ściśle cenzurowane przez obecnych tam zawsze szpiclów.

Słowo drukowane mogło przemycać to i owo, a cenzor nie odznaczał się zazwyczaj większą inteligencją i często posyłało mu się, jako rzeczy podejrzane, artykuły błahe, na których redakcjom nie zależało, aby nasyciwszy swoją żądzę, „mazania", tem pobłażliwszy był później dla rzeczy istotnych. O dziejach tych zmagań się redaktorów warszawskich z cenzurą w czasach nieco późniejszych, pisze w swojem dziełku ostatnio wydanem Ferdynand Hoesick.

Czasy, które obraliśmy za temat naszego artykułu, miały dla siebie jedną cechę znamienną: z góry były wykluczone niektóre materje i tych poruszać nie wolno było żadną miarą. Pozostawały jedynie wiadomości zagraniczne, komunikaty oficjalne (przeważnie dworskie) a ze zdarzeń krajowych — wypadki, oraz teatr i muzyka. Pozatem kwitła na łamcah prasy ówczesnej beletrystyka i to tak, jak nigdy.

Przez długi czas najlepszym feljetonistą warszawskim był bezsprzecznie Aleksander Niewiarowski, używający pseudonimu Gwiazdka. Pisał przeważnie o teatrze. Zasilał swemi odcinkami, m. in. „Gazetę Polską", jeszcze za redakcji Henryka Rzewuskiego a później J. I. Kraszewskiego.

Znawcą tej dziedziny był pierwszorzędnym. Głośną była w swoim czasie historja następująca. Niewiarowski miał pisać recenzję o premjerze jakiejś komedji w Rozmaitościach. Było to tłumaczenie z francuskiego. Sztukę tę Niewiarowski znał w oryginale. Ponieważ był to jeden z pierwszych cyganów warszawskich, należący jeszcze do kompanji Norwida, Włodzimierza Wolskiego i Lenartowicza, — przesiedział godziny teatralne w kawiarni, na premjerę nie poszedł wcale, a przypomniawszy sobie o premjerze, wrócił do redakcji i napisał sprawozdanie. Było to jednak sprawozdanie z widowiska, które się nie odbyło. Albowiem Bakałowiczowa zachorowała i przedstawienie zostało odwołane. Łatwo sobie można wyobrazić spojrzenia i uśmiechy kolegów z innych redakcji, kiedy zobaczyli oni wchodzącego z najlepszą miną Niewiarowskiego do cukierni „pod filarami" na ranną kawę. Cóż się jednak okazało? Niewiarowski miał powód do zmartwienia tylko przez dwadzieścia cztery godziny. Wieczorem bowiem Bakałowiczowa wyzdrowiała, przedstawienie się odbyło, a ze wszystkich ocen, jakie się o niem ukazały, za najtrafniejszą uznana została recenzja Niewiarowskiego, pisana na niewidziane. Znał on wszystkich aktorów na wylot, przewidział więc wszelkie możliwe usterki i charakter gry każdej poszczególnej postaci, jak również wiedział z góry, przeczytawszy afisz, czy role zostały rozdane właściwie i jakieby tu należało przeprowadzić zmiany.

T. Hiż.

LISTY DO WYDAWCÓW

Chcę pisać o listach Debussy'ego do jego wydawcy. P. Durand. (wydawca) słusznie zrobił że je ogłosił drukiem. Może być dumny. Bez przesady powiedzieć można, że tej treści listów żaden pisarz ani muzyk do swego wydawcy nie pisał, a o naszych stosunkach nie ma co mówić.

W ogromnej ilości listów pisanych w ciągu lat od 1894 do 1917 nie ma ani jednej wzmianki o pieniądzach, natomiast z każdego listu wywnioskować można, że są one pisane do serdecznego przyjaciela, a nawet doradcy artystycznego. W jednym z listów z racji wydania sonat na skrzypce i fortepian Bacha, których rewizję robił Debussy, pisze on, że „le vieux Cantor Saxon" komponował zbyt dużo i jest znośny tylko wtedy, kiedy jest „admirable", i szkoda że nie miał przyjaciela wydawcy, któryby mu dawał rady. Należy przypuszczać, że pan Durand był tym przyjacielem-doradcą Debussy'ego. Znajdujemy zresztą w tych listach często ślady, że tak istotnie było.

Listy te, nie zawierające żadnych kwestyj handlowych, są poniekąd autobiografją Debussy'ego. Wtajemniczają one nas w szczegóły powstawania jego arcydzieł, zawierają całą masę estetycznych poglądów, zdań o różnych muzykach, o literaturze, o polityce, o wojnie i t. d. Lektura doskonała — dodać bowiem należy, że listy są pisane świetnym literackim językiem,

z talentem pisarskim, o którym już wspominaliśmy, omawiając zbiór krytyk Debussy'ego.

Listy obejmują czas najintensywniejszej twórczości Debussy'ego, od kwartetu smyczkowego poprzez „Pelleas et Mélisande" aż do ostatnich sonat.

Komponowanie nie było rzeczą dla niego łatwą. Nad niektóremi dziełami pracował długo, często zmieniając, poprawiając, przerabiając je zupełnie. Genjalny poemat symfoniczny „La mer" rozpoczął w 1903 a skończył dopiero w 1905. A było i tak, że o sonacie na skrzypce i fortepian wspomina w 1894, a realizuje swój projekt dopiero w 1917. Wiele jest również dzieł rozpoczętych i nigdy nie wykończonych. Miał niezliczoną ilość projektów, między innemi chciał komponować dwie opery: „Historję Tristana" i „Upadek domu Uscherów" z noweli Poëgo. Nad tekstem tej ostatniej pracował od 1908 do 1917 i muzyki nie skomponował.

Szczególnie w latach wojny pracował ciężko. Denerwowało go to niezmiernie. Tematem najczęściej poruszanym wlistach, jest zwłoka w dostarczaniu kompozycyj. Zawsze Debussy jest niezadowolony z tego co już zrobił, musi poprawiać i prosi wydawcę o cierpliwość. Są utwory które komponuje powtórnie. Cudowne „Reflets dans l'eau" posał dwa razy. Pierwsza wersja mu się niepodobała „j'ai résolu d'en composer un autre d'après les plus récentes découvertes de la chimie harmonique".

Ciekawą rzeczą jest, że Debussy pisząc w listach ciągle o kwestjach związanych z wydawaniem jego utworów, nigdy nie rozprawiał o sobie, i nigdy się nie żalił na nieprzychyle krytyki, których nie brakowało aż do końca jego życia. Raz tylko w liście z r. 1917, a więc na krótko przed śmiercią, kiedy już bardzo cierpiał, rozżalony na jakiegoś krytyka, pisze, że szkoda, iż nie umie jeszcze jakiegoś fachu, np. szlifowania szkieł, jak Spinoza, mógłby przestać wtedy komponować i nie miałby przykrości. Ale to się trafia tylko raz jeden. Podnieść należy skromność Debussy'ego. Gdy pisze o licznych koncertach, gdzie dyrygował własnemi utworami, nigdy nie wspomina o swojem powodzeniu, jakkolwiek miewał czasami bardzo duże. W czasie wystawienia „Pelléasa" w Londynie, kierował próbami, ale podczas premjery siedział w hotelu i nie chciał się pojawić w teatrze.

Zadziwiającem jest zaufanie, jakiem obdarza swego wydawcę. Zwierza mu się ze wszystkich swoich artystycznych zamierzeń. Każdą rzecz napisaną przegrywa mu. Radzi go się w najdrobniejszych szczegółach, opisuje mu zawsze, co i jak zamierza komponować. Tak np. daje w paru listach dokładny opis 12 etiud na fortepian, informując pana Duranda, dla jakich technicznych celów będą skomponowane.

Listy są doprawdy unikatem w dziejach stosunków artysty z wydawcą, i dlatego dobrze zrobiono, że je ogłoszono. Można się z tych listów dowiedzieć wiele interesujących szczegółów z dziejów twórczości genjalnego muzyka, przeczytać wiele ciekawych uwag o różnych artystycznych kwestjach, wiele świetnych i dowcipnych powiedzeń, wreszcie dla nas specjalnie ciekawe są rzeczy dotyczące Polski.

Poza drobną uwagę o drukowanej w 1910 rokuw „Le Temps" powieści Conrada, którą poleca przeczytać panu Durandowi, jako „excessivement personnel", znajdujemy dużo uwag tyczących się Chopina. Durand rozpoczął drukować klasyków, żeby zastąpić wydawnictwa niemieckie (było to w roku 1915). Rewizję dzieł Chopina powierzono Debussy'emu. Otóż szczegół ciekawy: Debussy uczył się gry fortepianowej u p. Mauté de Fleurville, uczenicy Chopina, i pisze: „Il est regrettable que Madame Mauté de Fleurville à laquelle je dois le peu que je sais de piano, soit morte. Elle savait beaucoup de choses sur Chopin...."

Debussy proponuje przedmowę do wydania Chopina, w której radzi poruszyć kwestję różnych wydawnictw i fantastycznych interpretacyj. Wspomina przytem o wydaniu Ignacego Friedmana i o wstępie tam zamieszczonym, gdzie jest mowa o wpływach Chopina na Wagnera. Dziwi się że to pisze niemiec. Nie wiedział że Friedman jest polakiem.

Na zakończenie chciałbym wspomnieć o jednym drobiazgu, który nas z wielu względów interesować może.

Oto w liście z dn. 23 listopada 1915 roku Debussy cytuje przysłaną mu krytykę z Rosji o wykonaniu „Pelléasa". Krytykę pisał p. Karategin: L'éxécution fut mauvaise..... M. Fitelberg (chef d'orchestre) sans poésie et trop réaliste".

St. Z.

KRONIKA ZAGRANICZNA

Wystawa plastyki w Kolonji.

Międzynarodowy Instytut pracy intellektualnej przy Lidze Narodów zorganizował w Kolonji wystawę odlewów najsławniejszych dzieł plastycznych. Celem wystawy jest pokazanie rezultatów sekcji muzealnej Instytutu w dziedzinie wymiany intellektualnej i artystycznej na polu udoskonalania sztuki reprodukowania wartościowych zabytków sztuk plastycznych.

Na wystawie zebrano przeszło trzysta pięknie w różnych krajach wykonanych reprodukcyj rzeźb starego Egiptu i Asyrji, sztuki greckiej i rzymskiej, jakoteż dzieł sztuki średniowiecznej i nowoczesnej. Znalazły tu pomieszczenie reprodukcje arcydzieł z muzeów w Tebach, w Atenach i w Delhi, w Rzymie, Florencji i Neapolu, w Paryżu i w Londynie, w Barlinie i w Brukseli, i w wielu innych miastach.

Wystawę uzupełnili organizatorzy bogatym zbiorem historycznych medaljonów.

* * *

Nieteatralny dramat romantyczny na scenie.

W Lubece wystawiono z powodzeniem dramat znanego romantyka niemieckiego, Clemensa Brentano: „Ponce de Leon", który się składał ze stu dwudziestu scen. Skrócił sztukę odpowiednio i do celów scenicznych przystosował Gustaw Grund.

* * *

Słoweńska historja literatury.

„Slovenska Matice" w Lublanie zaczęła wydawać w zeszytach „Historję literatury słoweńskiej „F. Kidricza". Wydawnictwo ma objąć dzieje literatury słoweńskiej od jej najdawniejszych czasów do rewolucji marcowej.

fr. s.

WYJAŚNIENIE W ZWIĄZKU Z 10-LECIEM UNIWERSYTETU W BRATYSŁAWIE

W Dodatku Literackim Głosu Prawdy z dnia 4 b. m. zjawił się artykuł w kronice czechosłowackiej o dziesięcioleciu uniwersytetu w Bratysławie.

Artykuł ten na podstawie informacji czeskiego prof. Alberta Prazaka w „Prager Presse" pisał, że już w wieku pietnastym zamierzali założyć uniwersytet *„morawiak"* Jan Vitez i *„słowak"* Jan Ceznic.

Jest to fałszywe twierdzenie, bo Jan Vitez kardynał, arcybiskup ostrzychomski, założyciel uniw. nie był „morawiakiem", lecz urodził się w Chorwacji, a całe swoje życie spędził na Węgrzech. Był wychowawcą Władysława i Macieja Hunyady'ch, potem sekretarzem wojewody Jana Hunyady'ego. W roku 1455 został biskupem w Nagy - Varad i odtąd odegrał wielką rolę w historji kultury węgierskiej. Był gorącym przyjacielem rodu Hunyady'ch i odegrał wielką rolę podczas elekcji Macieja Hunyady'ego na króla Węgier. W r. 1465 został arcybiskupem ostrzychomskim i jako wielki mecenas nauki, zwolennik humanizmu założył w Pozsony (w Preżburgu) w dzisiejszej Bratislawie uniwersytet.

Widzimy więc z tego że Jan Vitez nie był *„morawiakiem" i nie miał nic do czynienia z Morawami.*

Tak samo i Jan Czezmicei nie był słowakiem, bo pochodził z węgierskiej szlacheckiej rodziny w Sławonji. Był jednym z najwybitniejszych humanistów węgierskich, który zwyczajem humanistów nazywał się po łacinie *„Janus Pannonius"*. Był kanonikiem w Nagry - Varad a w r. 1460 został biskupem z Pecs (w Pięciu kościołach). Z tego widzimy, że *nie był Słowakiem.*

Obydwaj byli wybitnymi humanistami węgierskimi, o czem nie wspomniał czeski profesor słowackiego uniwersytetu p. Prazak.

A. D.

ODPOWIEDZI
„GŁOSU PRAWDY" LITERACKIEGO

Wawrz. Łódź: Nie czujemy powołania do tego rodzaju współpracy. Nie uznajemy tego rodzaju literatury. Nie. Na takich „wysokościach" nieustannych przenośni, symbolów, alegoryj i aluzyj i przepowiedni nie umiemy ani oddychać, ani poruszać się swobodnie. Bardzo przepraszamy za zawód, jaki Panu robimy, nie potrafimy jednak towarzyszyć Panu na tej drodze. Wedle naszego prostego, chłopskiego literackiego rozumu, — cała ta pisanina to właściwie nonsens. Ale może nie znamy się. Może jest Pan genjuszem?

Z. Ton. Warszawa: Ależ drogi Panie ta wzmianka nawet w tak krótkim artykule poświęcona tak doniosłemu a może jedynemu w swej doniosłości zjawisku jakim był pośród literatury dramatycznej w Polsce Rittner nie wyczerpuje kwestji i wedle naszego zdania, — nie może wpłynąć na istotny brak tej pozycji w artykule!

Witold J. K. Poznań: I tak było w istocie. Dziękujemy za przesyłkę, oba wiersze pańskie ukażą się niebawem w naszym Dodatku. Czy pracował Pan przez ten czas? Czy ma pan coś nowego? Jesteśmy bardzo ciekawi i ewentualnie prosimy o nowe próbki.

St. B. Poznań: O Adamie pisać nie będziemy. Czekamy już raczej na jakąś nową pańską pracę. Oczywiście o ile ma Pan poezję, prosimy bardzo, zastrzegamy sobie jednak możność odrzucenia, o ileby utwory te nie leżały na linji naszego poetyckiego kierunku.

Trib, W-wa: Prosimy przepisać na maszynie. Skrypt pański jest zupełnie nieczytelny.

J. B. Pabjanice: Niestety wiersze pańskie nie posiadają wartości poetyckiej. Jest to raczej — jeżeli możemy szczerze powiedzieć, — t. zw. wzniosła gadanina. Że niby coś, tego, nibyto, jakoś tam ten jakiś człowiek walczy z sobą, zmaga się, a ludzie niech tego nie słyszą, — et, chyba lepiej zaprzestać tej gadaniny?!

Karol Gr. Otwock: Nie możemy zgodzić się z Panem, — by słońce miało głowę spoconą. To już drugi, czy trzeci poeta, który chce koniecznie, by słońce miało spoconą głowę. Co Wam na tem zależy? Czy to „polepsza" obraz słońca? Nie rozumiemy. W innym wierszu pisze Pan — (w wierszu p. t. Kuzynka): Chlusnęłaś mi w oczy urodną ulewą i wrosłem w ciebie, jak w rodną glebę drzewo. A zważ: kiedy — to jakżeśmy byli mali i obojętnie przy wszystkich w same się usta całowali". Wszystko razem potworne! Jakążto ulewą chlusta ta pańska kuzynka? Dalej: Cóż to znowu za żądza wrastania drzewem w glebę. Dalej: Dlaczegóż to, jako brzdące nie mieliście się całować przy wszystkich? Radzimy natychmiast, jaknajprędzej złamać pióro!!!

Łucja Zag. Bez żadnej wartości, nie zasługuje nawet na t. zw. krytyczny rozbiór.

Litwin, Łódź: Ależ Panie, — dobrze, dobrze, bardzo dobrze! Będziemy drukowali. Niechże Pan przyśle w liście swe imię i nazwisko, względnie pseudonim. Tytuł zostawiamy pierwszy. Pewne malutkie skróty zrobimy sami. Skróty czysto formalne. Radzimy pisać, uważać jak się to robi, studjować sposoby, chwyty. Czytać wiele. Winszujemy początku.

Juljusz P. Sl.: Wiersz zaczyna się dobrze. Jest szczery, prosty, wzruszający nawet, niestety dalej wątek strzępi się, psuje i wchodzi Pan w zwykły napuszony banał tego rodzaju utworów. Nie możemy drukować.

RH: Wiersz o Wodzu słaby, bez rytmu, bez powagi. Bez polotu. Czy sądzi Pan, że tak słabą poezją można istotnie opiewać wielkiego człowieka. Jakiżto brak skromności, — jaka zarozumiałość?!

H. Hart... Pisze Pan: Po uprzedniej, mozolnej autodydaktyce rozpocząłem pisanie krótkich nowel, szkiców i t. p. „Przyswoiłem sobie umiejętność wyrażania myśli i uczuć". Otóż niestety jest Pan w błędzie. Nie przyswoił Pan sobie jeszcze umiejętności wyrażania myśli i uczuć. Radzimy Panu pracę rozpocząć jeszcze raz. Szukać na określenie uczuć — słów prostych, jasnych, możliwie najwyraźniejszych. Wierszy wogóle nie pisać, z nadesłanych bowiem próbek wynika, iż nie ma Pan ani poczucia rymu ani rytmu. Zawrócić więc ku prozie i starać się posługiwać nią sposobem najprostszym, najkrótszym i najnaturalniejszym. Po paru miesiącach nadesłać nam próbę takiej prozy.

A-Ory: Niestety wiersze zupełnie nic nie warte. Nie zasługują nawet na t. zw. krytykę. Bardzo nam przykro, wolimy jednak napisać Panu prawdę.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *TADEUSZ HIŻ.*

Drukarnia Artystyczna, Nowy-Świat 47. **Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.**